

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Witold Wedeck
Czarne rondo



. . . w serii ukazały się . . .

Dawid Bienkowski *Nic*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Ida Fink *Odpywający ogród*
Ida Fink *Podróż*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*
Radosław Kobierski *Harar*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Krystian Lupa *Labirynt*
Krystian Lupa *Podglądania*
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*
Włodzimierz Pawluczuk *Judasz*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Zwał*
Piotr Siemion *Finimondo*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Marek Soból *Mojry*
Jerzy Sosnowski *Wieloscian*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Witold Wedecki

Czarne rondo

Kiedy się stanie w kierunku Marcinkiszek od strony Ponieździla, Barbaryszek i Dugnów, czyli twarzą na północ, wzrok prześlizgnie się po rojstach i karłowatych, kępami rozsypanych zagajnikach, z kosołoziną i wierzbą, z kruszyną, osiką i brzoźką. Tam, powiadano, gleby gliniaste, białosine, tam, powiadano, aluminium choć gołymi rękami wygarniaj. Tam, powiadano, wodzi.

To wina aluminium, że kiepskie urodzaje na tych gruntach. Nie obsiewano ich, nie meliorowano, jakby za karę. Nad tymi terenami, powiadano, wiedźmy siodłają miotły i na sabat śpieszą, mleko krowom w wymionach warzą. Pylily i płonęły trakty w pobliżu, grzmiąca palba, trup padał gęsto. Tamtędy bano się przechodzić. W zimowe rozchwieje tam wodziło grzesznych, ludzie na śmierć zamarzali, wilki watahami napadały, tam też, w połowie drogi polno-leśnej między Marcinkiszkami a Ponieździlem, rosła olbrzymia grusza, która rodziła zatrute owoce, do gruszek niepodobne. Tamtędy też w dawnych czasach wiódł gościniec z Dajnowy do Ejszyszek, największego miasta w tych stronach, gdzie odbywały się cotygodniowe targi, handlowano bydłem i końmi, wszystkim i niczym, i gdzie królowali

kieszonkowcy, prawdziwi panowie bazaru i bożyszczą młodzieży. Nosili modne kolorowe marynarki i szerokie spodnie, ręce w kieszeniach, papierosy w zębach. Grali na ustnych harmonijkach i tańczyli wprost na placu, wzięwszy się pod boki. Nikogo się nie bali, bo władza z nimi trzymała. Odór końskiego moczu pomieszanego z potem wisiał nad targowiskiem, drażnił nozdrza, przenikał kożuryny, od wrzawy pękały bębenki w uszach, ciekła krew z rozbitych nosów. Wielu sztukmistrzów i cyrkowców występowało na scenie z beczek po solonych śledziach i ogórkach. Napinali muskuły, prężyli torsy, łamali podkowy i rwali łańcuchy. Dziewczyny przyjezdne obnażały cycki, proboszcz z ambony rzucał klątwy. Nie brakowało gapiów podziwiających atletów. Popiskiwały z uciechy panny na wydaniu, pocierały udami rozbudzone wdowy. Złodzieje lgnęli do ludzi. Koło kościoła zaś nawiązywano o wiele przyjemniejsze kontakty, tam tworzyły się narzeczeńskie pary, przed ołtarzem i ksiądz miał swój zarobek.

Trakt między Dajnową a Ejszyszkami. Tamtędy dzieciaki bały się przechodzić, konie się ochwacały, siarę zamiast mleka krowy dawały, chleb był skażony trującym kwasem. Winne temu było ponoć aluminium w glinie, chociaż z tej gleby lepiono chlewy i gumna, a i chałupy, mieszając glinę z jałowcem, słomą i krowim łajnem. Wczesnym latem ze ścian lepianek wyrajały się trzmielce.

– O, widzisz, widzisz, wiedźma leci – wykrzykiwała dzieciarnia i pstrykała palcami w niebo.

– Czego ta hałastra tak wyje?! – gniewali się sąsiedzi.

– Na wieniku wiedźma, patrzajcie.

– Ale wystawiła cycki białe.

– Toż to chmary tak poukładali się jak hurmy śniegu.

– Poszła won, hałastra! – baby wylewały z za progę pomyje.

– Czego bluźnisz, onaż odziana w sukienki przezroczyście.

– Akuratnie, w sukienki...

– Zwidy, to chmary pędzą i zapadają za horyzont.

Chmury się kłębiły, różnokolorowe, układały w coraz to inne formy, pobudzały złąknioną sensację wyobraźnię. Z chmur na niebie, kto potrafił, mógł wyczytać całą swoją przyszłość.

– I gdzież, poganna, wybrała się, że na wieniku, na samym kiju siedzi?

– Patrzajcie, musi narada będzie w rojstach – maglowano temat.

– Gruszki wybiera, na półmiskach z naszej gliny rozsypie.

– Nażrą się, szalone, i zdechną, aluminium to truczizna.

– Złego nic nie otruje.

– Z sinej ziemi siny rozum, bo błękit to świętość, tak?

Ganiała dzieciarnia po podwórkach rozproszonych obejść, wszczywała niesnaski – krótkie majtki na szlej-

kach, pokaleczone, brudne kolana, utrapienie wszystkich matek. Gestykulowała, zaczęła się na wiedźmy, wypiła z dzież saładuchę. Saładuchę rozczyniano na upalne dni, dla dorosłych, a tu plaga drobnicy i takie ubytki.

I byłyby wesoło, wróżby z chmur byłyby dobre, gdyby nie czas wojenny. Sadyby zastraszone. Łupiono kontyngentami, zapędzano na odrabianie szarwarku. Szaulisi płądrowali i mordowali, kręcili się partyzanci. Biali, zieloni, czerwoni, a każdemu daj. Najstraszniejsze były noce, bałeś się położyć spać, bo nie wiadomo, czy się obudzisz. Ale psoty Rabego, Pietruka, Wićki i Kościuka, okolicznych niespokojnych duchów, pozwalały na chwilę zapomnieć o koszmarze. Wytchnienie jak łyk orzeźwiającej saładuchy. Otaczająca sadyby puszcza kryła tajemnice ziemianek. Każdy jej skrawek był zryty okopem, transzeją, wałała się broń na polach bitewnych, koło Zubiszek Staniewicza, przedwojennego ministra, koło pytłowego młyna w Wersoce Siedlikowskiej. W Lasach Rudnickich można było napotkać pomniki powstania styczniowego. Wzdłuż rzek Solczy, Wersoki i Merezanki ciągnęły się wsie i pastwiska, łąki i czarnoziem orny, wzdłuż Nieździlki – Wały Napoleońskie, z których zimą zjeżdżało się na sankach. Zamożniejsze gospodarstwa przeplatały się z ubogimi chatami. Księżyc prosił przeraźliwą poświatą jednak, jednak miał w swojej opiece majestatyczne drzewa, sterczące żurawie i zaganianych ludzi. Nad wszystkim jednak panowała bojaźń i drżenie. Tylko dzieciarnia traktowała grozę lekceważąco, śmierć najbliższych uznawała za

przygodę. Goniła wrzaskliwą gromadką, wyciągała mięsoty spod kamieni w lodowatych strumykach, piekła grzyby i kartofle w oprysku ognisk, ciskała kamieniami do celu, zabijała wiejskie koty i wpychała żabom do dupy słomki, by je nadmuchiwać do rozmiarów piłki. Uradowani, zziązani, niemiłosiernie poobijani, tworzyli groźną zgrają dla rówieśników z obcych wsi. Miejscowi nazywali ich bandami albo hałastrą, ale głośno tego nie wypowiadali, bo groziło to odwetem, nawet pożarem. Dlatego Raby często miał zakaz wychodzenia z domu, by nie nawykać do złego.

– Nie uczą się, nieroby, przepadają w lasach, wyrastają na zbójów – skarżyli się szeptem jedni drugim – o, ten, dla przykładu, Raby, istne utrapienie. Nawet Żmogus go nie upilnuje.

* * *

Za lasem podobno i ptasiego mleka nie brakuje. Nic na pewno, podobno. A tu same kłopoty. Nawet padchadiuszczej baby na lekarstwo. Same wymacane, wycykane, wybraki. Na rabunek późno.

Raby dorastał. Kiedyś z głodu całą paczkę płatków owsianych zjadł, aż go wzdęło. Aż się wyrzygał. Może z nerwów, zanim doniósł do domu. Ot, puść szczeniaka do miasteczka, atrament wypije, a na ptaszka smoczek wciągnie. Zaszargany, ale pociągający świat za lasem, za tą zorzą krzywą nad kreską horyzontu, za tym bukietem karminu rozlanego od wschodu po zachód. Las, o, to impregnowana, nieprzemakalna zasłona z zieleni

i czerni, górą korony, dołem jałowiec. Płatki owsiane, prawie nieosiągalny przysmak. Łojenie w dupę nie pomaga. Coś go roznosi, za czymś goni. Płatki wciąż, wzdęło, porzygał się i zdrów. Jedyna pociecha. Pytam: czemu tyle? A on, że smakowały, jakby z kremem, język pociągnęło... Ja już mu za karę nieruchaną wynajdę. Całymi dniami dłubie pod korą, lada dzień osoka z niego pocieknie. Sam upór i opryskliwość. Nikogo nie uznaje, taka w nim hardość i przekora. Szkoda, że u mnie już bliżej niż dalej. Nieśmiertelność minęła, trzask-prask i minęła. Kiedyś na skórze mróz tajał. Para kłębami buchała, gorąco od środka. Siedzę w tej przeklętej dziurze, czegoś pilnuję, o co nikt nie prosił, jakby przywiązany. Już dawno po wojnie. Listy przysyłają, pytają, kiedy wyjadę, bo wszyscy już wyjechali, a ja na posterunku marynarkę zakładam, dwa kamienie do kieszeni, żeby nie wywiało, i siedzę, trwam, niczym pies wody z kałuży się nachłepcę, wisielcze pomysły w głowie: zacząć się nocą i wyrznąć bandę, wyrznąć tych, co najechali, co nowe porządki wprowadzili, czerwonym sierpem i młotem machają. Złowieszcze czasy za lasem. U mnie na razie jak u Pana Boga za piecem. A oni w listach, żem głupi, że kamienie w kieszeniach to za mało. Czekam. Tyle lat. Rozproszyliśmy się od Australii po Kołymę. Pod sufitem się kielbasi, niczego nie rozumiem, alem przywiązany, duchów pilnuję, czekam na zmartwychwstanie. Słucham, kapuś do kapusia mówi: kapujesz... Takie niewinne żarciki. Ich relikwia: towarzysz Lenin. Wszystko splądrowane, dookoła podejrz-

liwość. Torba to norma. W listach zapraszają, a ja się odczepić nie mogę, coś trzyma, choroba, kiedy człowiek za głęboko korzenie zapaści. Od czasu do czasu nażłopię się berberuchy, ucisk serca ustaje, nostalgia ogarnia, wracają dawne czasy, tłok pod powiekami, w uszach szum, płozy skrzypią przed gankiem po grząskim śniegu, rzą konie, ły same ciekną. Zmącenie ustąpi, znów wszystko płowieje, stwory wsiąkają w ziemię. Jak nie zgłupieć...

Tych dwóch też pamiętam. Wpadli raniutko. Dawaj zarcie, picie. Wysuszeni na suchary, zgłodnieli. Zaczęłam coś szykować, coś konkretniejszego, rozesłałam obrus na stole, przygotowałam łyżki. Robota w rękach się paliła. No i nikt nie zdążył – ani ja, ani oni. Zaraz za nimi Niemcy. Od drzwi: Halt, halt, Hände hoch! Kosili na oślep ze szmajserów. Wbiłem się w ścianę. Taką moc ma strach. Ci przez okno do sadu. Mieli zimną krew, trzeba przyznać. W sadzie Niemcy ich dopadli i ścięli. Juden, Juden... Cieszyli się, zacierali z radości dłonie, że niby się udało. Najpierw mnie nikt się nie czepiał. Pomyślałam, że ujdzie na sucho. Zamiast jedzenia trzeba było przygotować łopatę. Kazali trupów zakopać, tam gdzie padli. No, to po bożemu zakopałem. Dygot został w środku. Jakbym to ja zabił. Strach nie wart funta kłaków. Oni z wciągniętymi brzuchami, pasy rzemienne, na sprzączkach „Gott mit uns”... Niczym nie różnili się od terażniejszych czerwonych. Emblematy inne, ale podejście do ludzi takie samo. Chapnąć, zachachmęcić, ukraść... Na wszelki wypadek proponuję – w szafce coś

by się jeszcze znalazło. Patrzą na mnie spode łba: nein, nein, i nie wychodzą, węższą, przepytują, kto bywa, dlaczego bandytów przechowuję, gdzie partyzantów najwięcej. Nie wiem, rozkładam ręce, szukajcie, nikogo nie przechowuję, znienacka wpadli, przecież zaraz za nimi wy. W ich wodnistych ślepiach wściekłość tli się, nienawiść, sienniki bagnetami prują, zaglądną do komórek, do chlewików. Idę się odpryskać, łapią za kark, tłumaczę, że nasikam do spodni, nic nie pomaga, pokazuję na migi, nicht gut, nicht gut.

Zarazy, uwzięli się. Pokusa we mnie – złapać siekierę i w te mordy. Dopiero potem, mściwe ścierwa, i mnie ustawili pod ścianę. Widocznie do ściany pasowałem... ściana pomogła. Ustawili i dają znaki, żebym śpiewał. W oczach koła, ani słowa wydusić, a tu żądają śpiewów. Sing, sing, du Schweine. Sing bandietische Lied... Tyle rozumiałem... Sprzeniewierzył się człowiek ślubowaniu. Bo wtenczas ślubowałem w duchu, że jeżeli cud mnie uratuje, to do kościołka w Dubiczach na piechotę zajdę, przed obrazem Najświętszej Matki ofiarę złożę i pacierz odmówię... Nie poszedłem i nie odmówiłem. Może kiedyś... No, ale nie śpiewam. Spotniały, milczę. Ten bliżej, co stał, uniósł pistolet... Zimność po krzyżach. Zaharatają. Uhm, tylem zdążył spostrzec, a raczej usłyszeć. Trrrach-trrrach – i po łomocie. Ułamek sekundy. Snop jasności pod powiekami, olśnienie. Reszta – czarna jama. Nawet nie sprawdzali, nie czekali. Może miałem drgawki? Nie wiem... Byli pewni swego. Odeszli z tym swoim gardłowym śmiechem. Zlikwidowany, gut-kaput.

Na moje szczęście tylko mięso podziurawili. Sito ze mnie było, krew sikała. Mnie cała seria nie zabiła, a czasami jedna kulka i fertig... Kości nie naruszyli ani żyły nie drasnęli. Najpaskudniejsza kulka między czerepem a skórą uwięzła. Ta dokuczała długo. Krwi ze mnie wyciekło niczym z kabana. Nie mam pojęcia, kiedym odzyskał przytomność. Alem się ocknął i myślę: cholera, czy to już w niebie? W oczach mętnie, gwiazdy. Niezła łaźnia. Lepka kałuża i ja w niej... Czyżby po mnie? Macam się, obszczypuję. Świat nade mną znajomy... Bez ruchu na razie, ostrożnie, żeby czegoś nie popsuć, żeby nie wrócili... Rozglądam się: swoje kąty. Żadne niebo. Ziemia. Radość porwała... Jakbym się drugi raz narodził. Jakbym zmartwychwstał. Zginam rękę, nogę, podciągam się... W porządku. Ból. Dawaj na brzuchu czołgać się w stronę domu. W skroniach dudni i pić, pić, sucho w gardle... Strach, że oni gdzieś przyczajeni, że dla żartu pozwalają, bawią się, że zaraz pociągną za spust i ogłuszą na zawsze. Taka gra z trupem. Ale naprawdę poszli. No i do dziś... Oto, ile wart łut szczęścia. Ile warta ściana. Tylko ci padli. W Dzień Zaduszny zawsze stawiam świeczkę moim niedoszłym gościom. Należycie, świeczka w butelce, na talerzyku. Kielicha wychylam na ich cześć. Niby na stypie. Ot, mogiłki, mogiłki... Nie wiem skąd, dokąd szli, ani imion. Mogiłki leśnych... Tyle po nich i dokładnie tyle samo w przyszłości po nas... Zamarła we mnie jakoś ta zwierzęca nienawiść. Zespokojałem.

Zalesiony nasz kraj. Strony dzikie, partyzanckie. Wymarzone miejsca. Nisko rozsiadła, szerokolistna lesz-

czyna. Gęste krzewy łożyny. Skudlone łośpuchy, osty, bagna, oparzeliska. Małoż to czasu spędziłem w lesie... Bezpieczniej i u samego Pana Boga nie jest. Z tamtych czasów utkwiły mocno w pamięci wyziębłe noce, cierpki zapach leśnej zakwaski i dojmujący brak jedzenia. Przeklęte, jątrzące mżawki. Zawsze skośne, zawsze prosto w twarz. I chłozzczące namokłe witki. Odparzone stopy i chlupot w butach. Zatęchłe onuce. Omszałe trzęsawiska po pachy i wieczna trwoga. W głębokich bajorach mrocznie rozjarzone zwodnicze ognie. Rzewny urok przycupniętych na skrajach zagajników chałup. Kołowanie... Rozgarniasz przed sobą w nieskończoność lepkie piekło i brniesz. Dyszysz w czyjąś potylicę, w czyjś kark podgolony. Czujesz czyjeś rżężące sapanie, jakby kto płuca zamierzał wycharczeć. Gorąc czyjegoś sapania na twoich plecach. Forsujesz zwały burej bryi. „No, szybciej do przodu. Jaja za ciężkie?” Braterskie troskliwe ponaglanie starszyny. A nogi z ołowiu. Ledwie podźwigasz, ale wciąż zipiesz. Karabin niczym armata. Tylko w brzuchu nadzwyczajna lekkość. Do mdłości, do zawrotów głowy. Anarchia kiszek... Tak, anarchia, choć z zewnątrz żelazna dyscyplina. Wojsko bez dyscypliny niczym ziarno luzem. Uff, byle nie zostać w topieli, boś przepadł. Kto ciebie wyciągnie, jeżeli ugrzęźniesz? Tu nawet sam czort zapałką nie błysnie, nie mruknie „dobranoc”... Rozlana bryja i ciężarna zieleń. Twoje przekleństwo i jedyny ratunek... Tępiłbyś zarazę, zniszczyłbyś i siebie. A ludzie podziwiają. Na chwilkę wpadną: „Ach, jak u was pięknie, wprost

żyć, nie umierać”. Zapachy... Ćmiały kroki. W miarę możliwości miarowo i cicho. Rytm rządzi światem i utrzymuje przy zdrowiu. Lufy karabinów w dół, przepisowo, i niekiedy świdrujący dym samoskrętów z rękawa, bo surowo zakazane. Nie było komendy „spocznij, palic wolno”. Coraz rzadsze przyjemne komendy. W płucach łaskocze. Rozbrajające omdlenie. Powieki zamykają się same. Wrastają nogi, gdzie stoisz. Oooo, nie można się rozkleić. Pohybel w kipieli... Lufy w dół, żeby proch nie zamókł. Odrezanki pod połą. Kopyta za pasem sterczą niby wylazłe żebra. Niektórzy pobrzękują, przepasani na krzyż taśmami naboi. Zdobyczne skarby...

Mundziuk Jaremowicz. Piękny, pleczysty, prawie z obrazka. Smukły, wysoki, smagły, kudrawy włos, słowiczy głos... W chórze parafii pierwszy. Nagle potknął się. Podbiegłem z pomocą. Padł niby podcięty, w pół słowa przełamany. Coś opowiadał i przerwał. Nawet strzału nikt nie słyszał. Zbłąkana kula go znalazła i pocałowała.

Daleki trzask, jakby kto suchą gałąź złamał, i życie pękło, rozsypało się w proch. Potem dowiedziałem się, że w tym samym czasie u matki w domu struna w wiszącej na ścianie gitarze pękła. W jego gitarze. Ni stąd, ni zowąd pękła. Magia? Przesady? A pękła. Znak niechybny, że czyjeś życie się urwało.

Stara Jaremowiczowa, rwąc włosy i wyliczając, krzyczała nad trumną: – Wiedziała ja, wiedziała, uprzedzała, nie słuchał. Prosiła, nie idź. Poszedł i ma, ma za swoje. – Tarzała się w rozpacz. Gryzła do krwi palce.

U nas mówiono o niej: listonoszka, bo w Wilnie, przed wojną, jej mąż listy roznosił. Uciekli z miasta na wieś. Nie uciekli za daleko... „Listonoszuka zabili, słyszeli?” – szła posępna wieść pocztą pantoflową po okolicy. Tym szybciej, że niektóre dziewczyny szalały za Mundziukiem, za jego urodą, delikatnością. Niejedna brzuch w ukryciu miętoszyła z tego powodu. Pod wieczór, kiedy letni dzień miał się ku zachodowi, niejedna słabła na charakterze i ulegała. Wprost nie dziewczyna, a wosk... Gorące zarazy w naszych stronach, pod miechem w kuźni hodowane. Gorące i kotne jak króliki...

Struna w gitarze pęknie i komuś życie na początku drogi urwie się raptownie. Komuś bliskiemu. No, chryja – ale wygraj z taką durną struną, niechaj nie pęknie. Jaremowiczowa zachłystywała się: – Synok, moj synok, ty, opiekun, czemu nie wstajesz, matce nie pomożesz? – tarmosiła ciało. – Wstawaj, a któż mnie pochowa? Kto polankow mnie, starej, nieudałej brzemko pod piecka rzuci. Bożeż ty moj, za kara... Kto na prostki do mnie przyleci jak anioł...

A ludzie na klęczkach szeptali: – Anioł zwiastował Pannie Maryi... Wieczne odpoczywanie racz jemu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jemu świeci. Amen... – Żegnali się w trwodze. Struchlałe wargi nieposłusznie odmawiały modlitwę. A nuż Niemcy... A nuż ktoś doniesie. Wyliczania i lamenty nie pomogły, Mundziuk nie zmartwychwstał. Tylko żałobny wiatr nad nim młyńca zakręcił, zakotłował, zawirował szaleńczo.

Garść liści porwał i het, w górę, na wiwat rzucił. Piachu grudkę na usypany kurhan sypnął i poleciał innych rzeźwić przy leśnej robocie albo grzebać, nad innymi rozpaczać. Wiatr, lekkoduch, zawsze pod ręką, kiedy trzeba, ale i znika, kiedy jeszcze mógłby chwilę pozostać. Po nim niedosyt. Dlatego zawsze tak mile oczekiwany i tak wielce treściwy, kiedy przyleci.

– Akuratnie ty musiał, ty – groziła niebu listonoszka. Zachłystywała się porywistymi zawiewami. – Ty, synok moj, kwiatuszek ostatni. Karmiciel.

Wierzchołki drzew sztywne, na baczność, rozpalone karminowym, słabym słońcem. Na twarzach kładły się fioletowo-rdzawe plamy. Kremowe chmury krążyły po widnokręgu. Rosa siadała na trawę. Drzewa nad rozpaczającą matką trzymały wartę, skłaniały się nisko, chyliły korony. Nawilgłe gałęzie kitami miękkich liści obkładały nasze umartwione czoła. Złamany wracałem z pogrzebu. Tracić bliskich na wojnie niby rzecz zwyczajna, ale ciągle bolesna.

Pod koniec partyzantowania między nawisłymi brzegami puszczańskiej Solczy ukrywaliśmy broń i amunicję, rzemieńne pasy i ładownice, wiązki granatów. Kurtki mundurowe i orzełki z koronami zamienialiśmy w przygnębieniu na samodziłowe kapoty i kaszkiety z grubo walonego sukna ze złamanym kozyrkiem.

Łamaliśmy po wiejsku daszki, że niby bardziej zniszczone... Wojna wygrana, my przegrani. Nie jako zwycięzcy wracaliśmy do domów. Nie wiedzieliśmy,

komu i jak służyć dalej. Wracaliśmy w niepewność, ale w lesie też bezpieczeństwa zabrakło. Z opuszczonymi i wtulonymi w ramiona głowami, wstydliwie, a może tylko płochliwie, w strachu przed wydaniem, wracaliśmy. Na swoje, a jakby nie nasze, na obce... Już wyłapywano, już gnano na Sybir za zdradę, już pod sąd polowy niejeden trafił. A białych niedźwiedzi nikt nie miał ochoty odwiedzać, więc wracano chyłkiem, ze zmartwieniem na twarzach... Całe szczęście, że Raby w porę się napatoczył. Przynajmniej zajęcie. Też, nieborak, zagubiony. Rozbitek jak ja. Wrócił sens. Warto było rozpoczynać od nowa. Po omacku, ale od nowa. Jedliśmy śnieg, grzaliśmy się w blasku księżyca. No i trwamy... Splątani w węzeł nie do rozplątania. Ściskanie łapy białej niedźwiedzicy – perspektywa żadna, a my, wiadomo, odtrąceni.

Po kostki w rzadkiej mazi. Roztopy wiosenne i na zmianę jesienne szarugi. Zimnica. Do znudzenia.

A nie najgorzej było robić zasady na wroga i trrrrach, seriami, między szyje a krocza. W głowy nikt nie celuje. Za mały punkt. Wojna to nie brawura i nie zawody sportowe, nie popisy. Liczy się skuteczność przy najmniejszym zużyciu amunicji. Najtrudniej było zdobywać wyżywienie. Ludzie wymordowani kontyngentami, szarwarkami, wygłodniali. I jak tu rekwirować ostatki... Wchodzisz. Wszystko poupychane po kątach. W skrytkach. Nawet kury nie widać, a kura w każdym gospodarstwie obowiązkowa... Nędza, a zabrać coś

trzeba, mus, bo zdechniesz z głodu... No to do katucha. I tam pustki...

– Odkrencili głowy... I kurki, i jajeczki zabrali, panoczku, zabrali...

– Łziesz, czego breszesz, gospodynia, dla swoich żeź. Nie szkoduj...

– Jaź, dalibóg, nie szkoduja, ale kiedy nie ma, panoczku. Zbawicielu...

I łup na kolana. I do rąk. Dawaj całować... Trzeba było mieć doprawdy kamienne serce i żelazne nerwy, żeby nie roztajać.

– Odliga tej zimy za bardzo, panoczku, zbawicielu, i bulba pogniwszy, zaparzywszy się. Niczego nie ma, Matko Ostrobramska, nie ma...

I pełźnie za tobą babinka na kolanach. Musisz okazać twardość, inaczej sam się rozplączesz.

– A gdzie dzieci? Mąż?

Trwożliwie rozgląda się na strony.

– Można prawda gadać?

– Mówcie, byle szybciej...

– Do lasu za leśnymi poszli. Już szmat czasu, ani słychu, ani dychu...

Rozterki rozterkami, a zabrać coś musimy. Po tośmy przyszli. Nie na pogaduszki. Chyba żeby się zgodzić na powolne wyzdychanie. Trzeba wybierać, podejmować decyzje między złym a gorszym.

– Nie płaczcie, gospodynia, po wojnie dobytek pomnożymy. Zabrane oddamy.

I szperamy. Myszkujejmy. Kobicina pełza za nami.

– Nie oddacie. Już tyle wojnow ja przeżyła. Wojaki nie oddają, co raz zachapali. Wiem. Pomsty w niebie na was nie najdziesz...

Nie do wytrzymania.

Albo gdzie indziej, w innych zagrodach, kobietom ręce drżą. Nerwowo dzieci kołyszą. Dzieci wrzeszczą. My tłumaczymy:

– Swoi, swoi...

– Wszystkie tak gadają...

I nikt nikomu nie wierzy. Tłumy „swoich” przewalają się, trudno się rozeznaczyć, jaka kostka pasuje do jakiej. Pomieszanie... Trochę większe dzieci trzymają się matczynych podołków. Żal serce ściska. Stropione karmelkowe miny: skrzywdzą czy pastylką sacharyny poczęstują... Wojenny przysmak... Ekstrakt niepewności na umorusanych buźkach. No i zabierać? – w nas również wątpliwości. Trwa przeszukiwanie w świrenkach, stodołach, pod krejkami, na wyżkach. Czy nie wisi gdzieś ukryty poлец słoniny, smakowita kiszka, kumpiak albo i kindziuczek. Wszędzie nos wtykamy, wszędzie nas pełno. Przetrzęsamy słupy i kieszenie z omłotem, kopy siana, stogi. Kłujemy szpikulcami. Nagle jakiś dziki wrzask. Aha... Okazuje się, trafiliśmy na kryjówkę.

– Kto tam?

– Uwaga, gotuj – pada komenda, któryś z bronią w pogotowiu odskakuje do tyłu, na osłonę.

Rozwalamy słomę i wywlekamy dekownika.

– Ja, panoczku, przed łapanko, żeb do Niemcow nie wywieźli na roboty...